

Żyję dzięki “Sprawiedliwym wśród Narodów Świata”

Wywiad z panem Jerzym Czarneckim

Wiesław Piechocki [WP]: -Natknąłem się na Pańską książkę autobiograficzną, której recenzja ukazała się po niemiecku na łamach największej i najpoważniejszej szwajcarskiej gazety “Neue Zürcher Zeitung”. Stąd wiem o Pańskiej egzystencji. Odnalazłem Pana poprzez redakcję NZZ . Siedząc w Pańskim mieszkaniu w miasteczku Windisch (trochę na zachód od Zurychu), dziękuję za zaproszenie i zgodę na wywiad dla “Nowego Kuriera” ukazującego się w dalekim Toronto. Dlaczego postanowił opisać Pan swoje życie na stu stronkach?

Jerzy CZARNECKI [JC]: - Uważałem to za swój obowiązek, jakbym kładł kamień na nieistniejącym grobie moich Rodziców. Również zrobiłem to dla moich zamordowanych krewnych, znajomych z mojego (miasteczka), “sztetl” – tak mówili na nie Żydzi - Mosty Wielkie.

WP: - Właśnie, ten motyw obowiązku powtarza się w autobiografiach żydowskich. Przeczytałem ich wiele, ostatnio Jacka Eisnera (“The Survivor” – książka i film; autor zmarł w sierpniu 2003 w Nowym Jorku). Element moralnego obowiązku wobec zmarłych – to nić przewodnia wynurzeń tychże autorów. Kiedy Niemcy wkroczyli do Pańskiego miasta, musiał Pan ładować zboże na wagony kolejowe, jak sam Pan pisze Czy czuł się Pan wtedy niewolnikiem?

JC: - Oczywiście. Ale czułem się poniżanym niewolnikiem nie tylko przez samych Niemców, lecz również przez Ukraińców. Kierownikiem tego magazynu zbożowego był Ukrainiec i wyżywał się w swej władzy do szykanowania Żydów, którzy musieli ciężko pracować. Miałem wtedy 17 lat (w 1941 roku) i dźwiganie worów ważących po 80 kg było katorgą. Szliśmy karnie, gęsiego, przede mną były plecy kolegi. Najgorzej było z wtaszczeniem i wysypianiem wora do załadowanego już wagonu. Koszmar! Potem, latami, chorowałem na dysk. Straszne worki były tego przyczyną.

WP: - Jak reagowała ludność żydowska i polska na okupację hitlerowską, kiedy Niemcy wkroczyli do Żółkwi?

JC: - Ludność żydowska żyła w ciągłym strachu. Niemcy, po wkroczeniu do Mostów i Żółkwi od razu zamordowali wielu Żydów, a dalszych wiele tysięcy w tzw. akcjach i przez wysyłkę do obozów zagłady. Żydzi byli terroryzowani przez ukraińskich nacjonalistów, którym Niemcy obiecywali wolną Ukrainę, i przez tę część polskiej ludności, która nagle stała się Volksdeutsche. Przykładowo opisałem w mojej książce rodzinę Ptaszników. Ojciec był listonoszem przed wojną, jego córka siedziała ze mną w szkole w jednej ławce. Latami pomagałem jej po koleżeńsku, nie była zbyt lotna. Natychmiast, po wkroczeniu Niemców do Żółkwi, 28 czerwca, zaczęły się napady, rabunki, rozbój, niemal pogromy Żydów. Głównym organizatorem tych prześladowań był jej brat. A co do Polaków? Bo ja wiem? Powiem panu o moim profesorsze języka polskiego z gimnazjum. Bardzo mi jako nauczyciel pomógł, abym porządnie nauczył się mówić po polsku, co na tamtych terenach nie było oczywistością. Żydzi żyli w jakby małych gettach. W domu mówiono po żydowsku, co powodowało, że ich „polszczyzna” pozostawiała wiele do życzenia.

Kiedy Niemcy weszli do miasta i zaczęły się napaści na Żydów, spotkałem mojego profesora przypadkowo na ławce w parku miejskim. W trakcie rozmowy poczułem od niego chłód. Nie było go stać na to, aby wyrazić żal, iż tak gnębieni byli Żydzi w tym momencie. Był wyniosły – to mi utkwiło w pamięci. Tkwi we mnie jakiś żal...

WP: - A jak zachowywali się Ukraińcy?

JC: - Trzeba powiedzieć, iż oni byli przed wojną bardzo źle traktowani przez władze polskie na kresach.

WP: - Moja matka, która pochodziła ze Lwowa też mi o tym opowiadała...

JC: - W Mostach Wielkich mieściła się szkoła policji państwowej, co ułatwiało utrzymywanie w ryzach „nie-sfornej ludności ukraińskiej”. Pamiętam, że mój znajomy, Ukrainiec o nazwisku Olejnik, po przesłuchaniach na policji w roku chyba 1933, został na stałe inwalidą, z trudem poruszał się... I kiedy Niemcy wkroczyli, Ukraińcy ich traktowali jako sojuszników, którym Niemcy obiecali utworzenie „Wolnej Ukrainy”. Mieszkaliśmy blisko cerkwi. Oni wpadli w euforię. Codziennie, powtarzam – codziennie – organizowali procesje z indygniami kościelnymi i głośno śpiewali: “Smert, smert, smert, Lachom smert, Żydom smert. Smert moskowskoj komunie!” To odbywało się codziennie w “religijnej” atmosferze!

WP: - Pan nazywał się przecież Izaak Steger. Kiedy dokonała się metamorfoza w nazwisku? Od kiedy nazywa się pan Jerzy Czarnecki?

JC: - To było przy końcu 1942 roku. Zbliżało się tzw. *final solution*. W międzyczasie oczywiście trwały tzw. akcje. To znaczy zgłaszali się Niemcy i żądali od władz getta ("Judenrat"), aby dostarczyć im ludzi do transportu do Bełżca, 1000 albo 2000 osób, gdzie bestialsko ich mordowano i palono. Wiadomo było, iż żadna z tych osób nie pozostanie przy życiu. Miałem bardzo mądrą matkę. Razem z ojcem podzieliła to, czym dysponowali. Ponieważ poprawnie mówiłem po polsku i nie miałem tzw. żydowskiego wyglądu, skontaktowano mnie z kimś z rodziny, kto miał kontakty z Polakami i nie tylko, którzy przyjeżdżali do Żółkwi. Ta była miastem tradycyjnie kuśnierskim, gdzie handlowano futrami. W ten sposób poznałem Griszę Milonasa, bodaj byłego "białego" oficera rosyjskiego, który był chyba w armii generała Żeligowskiego i zamieszkał w Polsce. Jemu daliśmy mój "spadek", czyli szczerozłoty zegarek ze złotym łańcuchem. Za to otrzymałem fałszywe dokumenty na nazwisko Zygmunt (wtedy jeszcze nie Jerzy) Czarnecki. W ten sposób stałem się "aryjczykiem".

WP: - Brzmi to nazwisko bardzo po polsku.

JC: - Tak! Wtedy też do Żółkwi przyjechała bardzo wówczas młoda panna, Władysława Paluch (o rok starsza ode mnie), współpracownica Griszy Milonasa. Zabrała mnie z Żółkwi do Warszawy. Znalaziono mi mieszkanie przy ul. Puławskiej. Ale tam zaraz przyszli młodzi Polacy (w ówczesnym żargonie "szmalcownicy") i powiedzieli "Wiemy, że jesteś Żydem. Oddaj nam wszystko, co masz. Inaczej wydamy cię Niemcom". Szybko wyniosłem się przy pomocy powiadomionego Griszy na ul. Pańską 100, do rodziny Paluchów, rodziców Władysławy. Była to prosta rodzina, bogobojna, on był dozorcą. Mieszkania były tam wysokie. Można było wbudować antresolę. Na takiej antresoli zamieszkałem. Przed wojną był to dom zamieszkały przez Żydów. Ta rodzina miała więc wiele kontaktów z Żydostwem. W tym samym korytarzu mieszkała rodzina Rybaków. Pani Rybak wiedziała, że Paluchowie mnie ukrywają. Zmarły mąż pani Rybakowej prowadził przed wojną warsztat mechaniczny. Trochę w nim potem pracowałem. Pani Rybak przyjęła później do siebie dziewczynkę żydowską, ja musiałem się przenieść na ul. Krzyżanowskiego koło Skierniewickiej.

WP: - Pan to tak opowiada, jakby to była taka swoista turystyka. A przecież za tym kryło się ogromne niebezpieczeństwo. Za przechowywanie Żyda groziła tylko jedna kara: kara śmierci. Ci ludzie – czy dobrze to wyczuwam? – Byli przecież bohaterami?

JC: - Oczywiście! Ja niewiele, ale płaciłem tej nowej właścicielce mieszkania, Marysi, której mąż został rozstrzelany przez Niemców. Ona jeździła na handel, ja trochę zajmowałem się jej dzieckiem. Szczególnie Paluchowie (widział pan ich zdjęcia w mojej książce) są dla mnie wielkimi bohaterami. Ja myślę, że oni sami nie uważali się za bohaterów. Dla nich to był chyba chrześcijański priorytet moralny...

WP: - Przejdźmy do wiosny 1943 roku. Jest kwiecień w Warszawie. W getcie wybucha tragiczne powstanie. Co sądzi Pan o tym symbolu, powtarzającym się w literaturze oraz w filmografii, mianowicie kręcącej się karuzeli przy płonącym getcie?

JC: - Myślałem, iż ja to pierwszy opisałem... Ja naprawdę to przeżyłem! Widziałem ją i nawet znam taki przypadek, że pijany właściciel tej karuzeli zasnął a klient (też pijany) kręcił się kilka godzin na siodelku. Ale nie chodzi o ten symbol tej nieszczęsnej karuzeli. Chodzi o to, że w okupowanej Warszawie życie toczyło się niemal normalnie w porównaniu z koszmarem getta.

WP: - Czy to było "lepsze" życie niż to za murami getta?

JC: - W getcie panował koszmar, a w Warszawie można było się poruszać normalnie, w porównaniu ze strasznymi warunkami wegetacji, ciągłymi rozstrzelaniami, śmiercią głodową za murami getta. Do Warszawy Grisza przywiózł mojego brata. My niemal bezczelnie poruszaliśmy się coraz swobodniej po stołecznych ulicach, myśląc, że jesteśmy niepodobni do Żydów. A tam bombardowano getto. Razu pewnego zatrzymał nas polski granatowy policjant. Zabrał nas do pobliskiej bramy. Mówi do nas, że jesteśmy Żydami ("każdy widzi, że jesteście Żydami!") i pyta czy mamy pieniądze. Daliśmy mu tyle, ile mieliśmy przy sobie. Rok później, znowu ten sam policjant spotkał mojego brata. Zdziwił się nadzwyczaj i mówi do niego z sarkazmem: "To ty jeszcze żyjesz? Uciekaj!"

WP: - Następne koleje losu zaprowadziły Pana na roboty do Niemiec. Jakie były okoliczności tego faktu?

JC: - Wie pan, to bombardowanie i zniszczenie getta, stałe obciążenie psychiczne oraz fakt, że nie miałem już z czego żyć, spowodowało, iż posłuchałem mojego brata i Griszy, który via AK dowiedział się, że w Skierniewicach w pewnej rodzinie chłopak chce się uratować od wywózki do Niemiec. Musi pan wiedzieć, że oprócz łapanek na roboty, Niemcy ustalili system kontyngentu dla gmin. Pewna ilość młodych ludzi musiała być dostarczona na roboty do Reichu. Zgłosiłem się do tej rodziny ze Skierniewic, poszedłem w zastępstwie ich syna do "Arbeitsamtu". Ryzykowałem, bo wiedziałem, że Niemcy przeprowadzają kontrolę lekarską kandydatów do robót. Bałem się, iż zwrócą uwagę na fakt, że jestem obrzezany. Ale wie pan, ja zawsze wierzyłem, że mam szczęście w życiu. Wierzę, że Pan Bóg pomaga tym, którzy chcą, aby On im pomógł. Owego dnia badania były mniej skrupulatne i wolno mi było wyjechać do Niemiec jako „normalny” Polak Czarnecki. Na folwarku Streithof, dokąd zostałem przydzielony do pracy, inspektorami byli Niemcy, oraz poznaniak (Volksdeutsch). Oni nie mogli od razu poznać, że znam niemiecki (uczyłem się tego języka przecież w gimnazjum przed wojną). A był to okres szczególnie: jesień 1943 roku. Włochy skapitulowały, samoloty angiels-

kie i amerykańskie coraz gwałtowniej bombardowały miasta niemieckie, obrona przeciwlotnicza Niemców słabła. Samoloty RAF-u zrzucały ulotki pisane po niemiecku. Były to teksty podpisane przez burmistrza Nowego Jorku, Fiorello La Guardia. On z pochodzenia był Włochem i podpisywał też swym nazwiskiem ulotki rzucane po włosku nad Włochami! To robiło wrażenie!

WP: - Jak układały się stosunki ze wspomnianym poznaniakiem?

JC: - Coraz gorzej. Bardzo szykanował wszystkich dookoła. Chciał pokazać, iż on również należy do narodu panów. Ciągłe poganiał nas, pokrzykiwał, był niezadowolony z naszej pracy. Pragnął pokazać więcej niż lojalność, chyba myślę, służalczość. Szykanował też mnie. Był grudzień 1943 roku. Buraki cukrowe zostały zebrane. Na polach zostało sporo jeszcze specjalnych, ale zepsutych przeseł od kolejki, którą się instalowało przy zbiorach buraków. Te przeseła trzeba było przewozić końmi. Ale inspektor kazał mi je rękami znosić. Każda sztuka ważyła 60 kg. Podbiegł do mnie, krzycząc, abym szybciej pracował, zamierzając się na mnie wielkim kijem. Wyrwałem mu go z ręki. Od tego momentu wiedziałem: muszę uciekać. W najlepszym przypadku, gdyby mi wymierzono karę, wysłanoby mnie do fabryki smoły w Pylicach. A stamtąd każdy wracał z gruźlicą.

WP: - Podziwiam determinację Pana. W środku Niemiec, w środku wojny, w środku zimy! Dokąd uciekać?

JC: - Kiedyś już czułem się niewolnikiem. Teraz poczułem się zwierzęciem. Nad ranem zauważyłem, iż w nocy zagubiłem się, chodząc dookoła po lesie. Poszedłem wzdłuż rzeki. Natknąłem się na niewolników radzieckich. Mieszkali w barakach. Dzień cały byłem u nich. Przechowali mnie, ryzykując. W nocy wskoczyłem na wagon towarowy przejeżdżającego pociągu w kierunku Stralsundu. Tam wskoczyłem do następnego. Myślałem, że jedzę do Berlina. Siedziałem w budce strażniczej. Nikogo w niej nie było. Natomiast była jakaś kartka z nazwiskiem Solenko Fiodor. Postanowiłem znowu zmienić swoją tożsamość i nazywać się od tej pory Fiodor Solenko, bo mówiłem także biegle po ukraińsku.

WP: - Dlaczego właściwie Pan to zrobił?

JC: - Gdybym pozostał przy "Czarneckim", szybko by mnie zidentyfikowano i odesłano do okrutnego inspektora lub do obozu koncentracyjnego. Ten krok był konieczny. Wkrótce mnie schwytano. Powiedziałem, że jadę z Ukrainy na roboty i że na chwilę wyszedłem na peron i mój pociąg odjechał. W Stralsundzie byłem więziony i torturowany. Gdy w więzieniu wybuchła epidemia tyfusu, przeżyło tę chorobę tylko dwu, ja między innymi, z wszystkich pacjentów więziennego szpitala.

Po wielu tarapatach przydzielono mnie do pracy do właściciela sklepu meblowego oraz stolarni. Teraz jako wielki patriota, w trakcie wojny, postanowił produkować skrzynie do amunicji. Zatrudnił do pracy kilkanaście Niemców, którym starałem się dyskretnie wyjaśniać sytuację na froncie, bo czytałem codziennie "między wierszami" nazistowski "Völkischer Beobachter". Jak wypowiedź z innego świata wspominam jedną z pracownic, która jeszcze parę miesięcy przed końcem wojny mi mówiła: "-Wiesz, jak się wojna skończy, to pojedę osiedlić się na Krym. Tam zginął na froncie mój mąż i syn. Chcę być blisko nich..." Tak potężna była propaganda Goebbelsa. Mój trud nie zdziałał zbyt wiele!

Jako pracownik byłem przez szefa ceniony. Pochodzę z rodziny, która przed wojną posiadała tartak, handel drewnem i cegielnię. Znałem się zatem na maszynach do obróbki drewna. Nie mógł mnie „Ukraińca” zrobić majstrem, ale miałem przygotować materiał do wytwarzania skrzyń. I tak, pracując w tej stolarni, dotrwałem do końca wojny.

WP: - Kiedy wrócił Pan do Polski?

JC: - Wróciłem do Warszawy w czerwcu 1945 roku. To miasto było całkowicie zburzone. Pamiętam oczywiście pierwszy obraz: na placu, gdzie teraz stoi Pałac Kultury, na ruinach siedziała grupka dzieci, chyba dziecięcio- lub dwunastoletnich. Dziewczynka w tym wieku nalewała im z butelki wódkę, którą dzieci piły... To był dla mnie symbol zupełnie zrujnowanej stolicy. Nie można było nigdzie normalnie przejść, tak Warszawa była zbombardowana, zniszczona... Poszedłem na ulicę Pańską. Tam spotkałem Paluchów, którzy też wrócili. Od nich dowiedziałem się, iż mój starszy brat, który brał udział w Powstaniu Warszawskim, jest teraz w wojsku. Nazywał się Zygmunt Kozłowski. Powstańcy poszli do niewoli – tak wynegocjował to z Niemcami Bór-Komorowski. Ale mój brat – to chciałbym podkreślić – nie mógł pójść do niewoli: od tego momentu był znowu tylko Żydem, którego każdy mógłby zadenuncjować a hitlerowcy by od razu go zabili. Wzmianka o jego udziale w Powstaniu Warszawskim jako żołnierz AK Zgrupowania "Leśniak" znajduje się w książce Juliusza Kuleszy "Reduta Warszawska", Instytut Wydawniczy "PAX", Warszawa 1989.

WP: - A co z pozostałą rodziną?

JC: - Wszyscy zostali wymordowani: moi dziadkowie, moi rodzice. Przy życiu został tylko mój brat i ja. Zgłosiłem się też do wojska. Stało się to 6 sierpnia 1945 roku, w dniu, kiedy Amerykanie rzucili bombę atomową na Hiroszimę. Wtedy wszyscy mieliśmy nadzieję, iż po okrutnych doświadczeniach wojennych powstanie Polska demokratyczna.

WP: - Należy Pan do pokolenia, któremu wojna zniszczyła całą młodość. Jak uzupełnił Pan potem swoje wykształcenie?

JC: - Przed wojną skończyłem cztery klasy gimnazjalne. W tym dwa lata za władzy radzieckiej! Potem byłem w wojsku. Zostałem oficerem. Istniało takie prawo wtedy, że kadra mogła uzupełniać swoje wykształcenie cywilne na wieczorowych kursach szkolnych. Moja jednostka znajdowała się w Świdrze pod Warszawą, skąd dojeżdżałem do liceum im. Batorego w Warszawie. Wyglądało to tak: kolejką elektryczną do stacji "Warszawa Wschodnia", potem ciężarówkami (nie było przecież autobusów) przez most pontonowy (normalnych nie było) i dalej trolejbusem do liceum. Z powrotem nocą czasem w pociągu ze zmęczenia przysypiałem. Zamiast do Świdra, jechałem aż do Otwocka... W pokoju było strasznie zimno. Nie było opalania. Rano koszula „stała” na sztywno. Człowiek był młody, przetrwałem i to... Wie Pan, wtedy... w Stralsundzie, kiedy mnie złapano, strasznie mnie bito. Kiedy się ocuciłem w celi, gorzko płakałem, nie z powodu bólu fizycznego, ale dlatego, że myślałem: Jakim prawem? Dlaczego?! Odebrałem to jako poniżenie mojej Matki! Przecież gdyby moja matka to mogła przewidzieć, to nigdy by mnie nie urodziła! Wtedy...sponiewierany, złożyłem sobie przysięgę, iż będę „czymś”! W 1947 roku dowiedziałem się, iż jest możliwość wyjazdu na studia cywilne do ZSRR. Poszedłem na rozmowę do generała Komara. Powiedział mi, że z wojska mnie nie zwolni, ale otrzymam urlop, by po studiach wrócić do wojska. Tak też się stało: jako specjalista elektronik-łącznościowiec pracowałem w wojsku, w tym wiele lat w Wojskowej Akademii Technicznej. Specjalizację w dziedzinie techniki jądrowej zrobiłem na rocznym kursie w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Doktorat w tej dziedzinie obroniłem w WAT.

WP: - Nastąpiła stabilizacja?

JC: - Niestety nie. W 1953 roku zaczęły się polityczne afery: w Moskwie sprawa lekarzy, w Pradze sprawa Slansky'ego, w Warszawie afera gen. Komara i tzw. "Hiszpanów", czyli uczestników wojny domowej w Hiszpanii (1936-37). Aresztowano gen. Komara, wybitnych oficerów, walczących w Hiszpanii. Wśród nich było bardzo wielu Żydów. Przykład szedł z Moskwy: wśród wspomnianych skazanych 19 lekarzy (mówiono o nich "truciele") jeden nie był Żydem. Fala antysemicka rozeszła się po krajach podległych ZSRR.

WP: - Domyślam się, iż rozmawiamy dlatego w Szwajcarii, gdyż opuścił Pan Polskę z powodu swego pochodzenia.

JC: - W wojsku nastąpiła nagonka, inkwizycja. Ludzie odwracali się ode mnie. Zmuszono mnie, abym wyszedł z wojska. O tym pisze też w swojej książce płk. Dronicz. To był schemat pozbywania się Żydów z wojska polskiego. Trzeba było przecież wytłumaczyć, dlaczego socjalizm/komunizm w Polsce się nie udał.

WP: - Jak przedstawia się teraz Pańska rodzina?

JC: - W roku 2004 będę obchodził równo 80 lat mego życia. Mam żonę i jedną córkę. Ta ostatnia jest profesorem etnologii na Uniwersytecie w Bielefeld, w Niemczech.

WP: - Ostatnie pytanie: co chciałby Pan powiedzieć czytelnikom "Nowego Kuriera" z Kanady?

JC: - Że najważniejsza jest tolerancja. Że edukację w tej dziedzinie należy zacząć od szkoły podstawowej. W rozmowach z Niemcami mawiałem, że mam nadzieję, iż przyjdą pokolenia Niemców, które będą szczęśliwe, że ich przodkowie przegrali wojnę w 1945 roku, aby oni w imię szaleńczej idei "Narodu Panów" nie musieli mordować innych. Ważne jest też zachować pamięć o zamordowanych, jak i o tych, którzy bohatersko stawali w obronie ich życia.

WP: - Dziękuję Panu jak najserdeczniej za ten wzruszający wywiad.

Wiesław PIECHOCKI, Windisch, Szwajcaria, listopad 2003